



Andrzej Trojanowski – z Jarmarkiem św. Dominika, w różnych rolach związany od 50 lat. Wieloletni dziennikarz i menedżer, były Prezes Radia Gdańsk, Dyrektor Biura Prezydenta Gdańska i Dyrektor Biura Prezydenta Gdańska ds. Sportu.

Wracamy do czasów kiedy odradzał się Jarmark św. Dominika i Pan w tym uczestniczył.

AT: Swoją przygodę z Jarmarkiem zawdzięczam tacie. Był artystą, kompozytorem, profesorem Wyższej Szkoły Muzycznej, był też kierownikiem wydziału kultury w UM Gdańsku. Wskreszenie tradycji Jarmark św. Dominika zawdzięcza trzem osobom. Byli to: Wojciech Świącki dziennikarz Wieczoru Wybrzeża, Andrzej Januszaitis, nauczyciel akademicki, doskonale znany pasjonat, znawca i propagator historii Gdańska i mój ojciec. W wydziale kultury magistratu wymyślono, by na jarmarku pojawili się trębacze i halabardziści. Tata zaproponował mi rolę halabardzisty, ja namówiłem kolegę i tak dwóch studentów Wydziału Prawa i Administracji mogło sobie dorobić w wakacje świetnie się przy tym bawiąc. Był to rok 1972, w kolejnych latach pełniłem zaszczytne role herolda oficjalnie otwierając i zamykając Jarmark na scenie przy ul Szerokiej obok słynnego Żurawia.

Czy w tym czasie w domu dużo mówiło się o Jarmarku?

AT: Tata dużo mówił o wydarzeniach artystycznych i problemach z ich organizacją, ale w tych latach nie to było najważniejsze. Dla ludzi o wiele istotniejsze od koncertów czy przedstawień było to, co będzie można kupić na jarmarku. Były to czasy gdy sklepy nie oferowały zbyt wiele. Ojciec zajmował się gdańską kapelą podwórkową, dla której skomponował sporo piosenek. Kapela nadawała kolorytu, jarmarkowe ballady wykonywane były z wozu, który ciągnęły konie i jeździł ulicą Długą. Jako halabardnicy otrzymaliśmy stroje z Teatru Wybrzeża, a że był to czas mody na długie włosy to idealnie komponowało się z postaciami, których role mieliśmy odgrywać. Nasza "praca" była fantastyczna. Pamiętam jak poszliśmy na ul. Mariacką, gdzie wystawiali się rzemieślnicy, a za nami od razu ruszyli turyści, szczególnie z zagranicy robiąc nam zdjęcia. To było zupełnie coś nowego. Nie było jeszcze grup rekonstrukcyjnych, szczudlarzy, ale byliśmy my. Wystawcy wiedząc, że nasza obecność gwarantuje przybycie dewizowych turystów zapraszali nas chętnie i częstowali okazując w ten sposób wdzięczność.

Byliście niczym dzisiejsi animatorzy, maskotki, czy żołnierze z garnizonu Gdańsk, których można spotkać podczas Jarmarku Bożonarodzeniowego. Pracowaliście przez cały czas trwania jarmarku?

AT: Mieliśmy dowolność jeśli chodzi o wybór tras czy miejsc, ale musieliśmy pamiętać o wydarzeniach podczas, których obecność halabardników była obowiązkowa. Były to rozpoczęcie i zakończenie jarmarku, ale też i śluby podczas jarmarku. Byliśmy takim dodatkiem do wszystkich atrakcyjnych punktów programu jarmarku. Później rozszerzyłem swoją działalność bowiem grałem w takim bigbitowym zespole Hornety. Graliśmy od ballad do rocka i byliśmy kontraktowani do występów podczas jarmarku. Wiązało się to z tym, że szybko musiałem przebierać się z munduru halabardzisty by wskoczyć na scenę i grać, bo nie śpiewałem najlepiej. Towarzyszyła nam często żeńska grupa wokalna Honoratki. Występowaliśmy z nimi nie tylko na wybrzeżu ale w Polsce i poza granicami kraju. To nie koniec moich aktywności podczas Dominika. Wypożyczyłem od kolegi sprzęt i stałem się akustykiem, który nagłaśniał m.in. orkiestrę kameralną pod dyktando Wiesława Suchoplesa z Teatru Muzycznego w Gdyni. Koncerty odbywały się to na przedprożach Dworu Artusa, ludzie słysząc wielkie przeboje operetki czy musicalu zatrzymywali się i bawili razem z nami.



To były zupełnie inne lata, inny jarmark...

AT: Tak, to było coś absolutnie nowego w kolorycie gdańskiego głównego miasta, ale też ludzie, którzy przyjeżdżali do Gdańska. Oczywiście oni w pierwszej kolejności szukali dóbr materialnych, w drugiej coś dla ciała i ducha. Kulinaria, choćby szaszłyki, których na co dzień nie można było kupić, a na jarmarku już tak. Do tego wszystkie wydarzenia artystyczne, nie musiały szukać programu, idziesz uliczką i pojawia się kapela podwórkowa, studio teatralne, orkiestra dęta czy kameralna. Dla nas wszystkich było to coś zupełnie nowego. Wiadomo, to były inne czasy jeśli chodzi o politykę i ekonomię i władza starała się to wykorzystać pokazując dzięki jarmarkowi, że w Polsce wszystko jest w porządku, a wiemy, że nie było. Niedostępne na co dzień produkty po kilku dniach jarmarku kończyły się, pozostawały wydarzenia artystyczne i tak wyglądał piękny miesiąc sierpień w Gdańsku. Wtedy mieszkańców było bardzo dużo, dziś odnoszę wrażenie, że gdańszczanie unikają jarmark ze względu na dużą liczbę gości. Dziś już nie szukasz deficytowych towarów, zmienił się styl spędzania wolnego czasu i charakter samego jarmarku. Pamiętam jak pracując w Urzędzie Miasta zakontraktowałem pokaz skoków i ekwilibrystyki nad Motławą. Fantastyczne, efektowne wydarzenie, które zgromadziło tysiące widzów, ale jarmarkowi kupcy z Długiego Pobrzeża byli źli, bo nic nie sprzedawali.

Jak Pan wspomina następne edycje jarmarku, jak długo trwał ten efekt nowości.

AT: Przez pierwsze lata napływało ludzi, którzy przyjeżdżali na swój pierwszy Jarmark św. Dominika. Organizatorzy starali się wprowadzać nowe wydarzenia artystyczne, koncerty. Pamiętam koncert Maryli Rodowicz i wypełnioną kilkutyśnicznym tłumem ul. Szeroką. A swoją rolę halabardnika przekazałem młodszemu bratu i tak kolejne pokolenie przejęło tradycję jarmarku.

Jak z dzisiejszej perspektywy widzi Pan jarmark, ten z lat 70, 80 i kolejnych?

AT: W kolejnych edycjach jarmarku mogłem uczestniczyć jako młody dziennikarz Radia Gdańsk, reporter, który realizował materiały newsowe. Gdańsk za swoją niepokorność wobec władz komunistycznych był na uboczu wielkich wydarzeń. Ogólnopolska antena programu 1 lub trzeciego kupowała relację jeśli działo się coś atrakcyjnego i ten jarmark zawsze „był brany” przez centralę, co pokazuje jak ważnym był wydarzeniem w skali kraju. Później, kiedy pracowałem w Urzędzie Miejskim byłem w komisji jarmarkowej. To było inne spojrzenie na to wydarzenie, obserwowałem jak się zmienia. Dzisiaj... uważam, że jarmark idzie w dobrym kierunku. W zasadzie to dotyczy to obu jarmarków, św. Dominika i Bożonarodzeniowego. Zimowy jarmark w Gdańsku przypomina mi te najpopularniejsze jarmarki świąteczne w krajach zachodnich. Nareszcie miasto i organizatorzy doprowadzili, że z takiego wydarzenia można zrobić pocztówkę. Na Dominiku jestem co roku, marzy mi się, by jarmark rozpoczynał się lub kończył dużym koncertem na Ołowiance z udziałem gwiazd z najwyższej półki.

Jarmark się zmienia, jest coraz większy.

AT: Wprowadzane zmiany uważam za absolutnie słuszne. Nie było już przyszłości gdyby zachować stare rozwiązania komunikacyjne i organizacyjne. Jeśli chcesz kupić starocie to przechodzisz na drugą stronę Motławy. Oczywiście znajdują się malkontenci, ale to kwestia nawyków, przyzwyczajenia. Dzisiaj nie ma różnicy, po której stronie Motławy jesteś, po obu jest pięknie i co ważne dostępne dzięki nowym rozwiązaniom komunikacyjnym dla pieszych. Warto być dumnym z tego co zrobiono w Gdańsku i jaki jest Jarmark św. Dominika.